

## Wenezuela - wyprawa na Tramen Tepui

Pod wieczór przyjechałem z Albertem do osady maleńkiej osady Uroy Uaray. Miejscowość ta, położona przy szosie wiodącej z Ciudad Bolivar do Brazylii, jest jakby bramą wiodącą do wioski Warpata i rozległych terytoriów indiańskich na granicy Wenezueli i Gujany. Przyjechaliśmy w celu uzgodnienia wynajęcia samochodu dla naszej wyprawy. Zostaliśmy powitani bardzo serdecznie, obecny akurat tam nowy szef wioski Warpata uściskał się ze mną serdecznie, również **Wilmer Brown**, nauczyciel i jednocześnie sołtys osady Uroy Uaray ucieszył się na nas widok, byliśmy bowiem tutaj już dwukrotnie.

*Pierwszy raz dotarłem w to miejsce w sierpniu 2009 roku. Stąd właśnie razem ze studentkami biologii: **Justyną Naumowicz**, **Izą Stachowicz**, **Ewą Tratkiewicz** oraz Wenezuelczykiem **Hugo Cerdą**, doktorem biologii z Caracas wyruszyliśmy na rekonesans w stronę tepui Tramen i Ilu na granicy Wenezueli i Gujany. W trakcie tego wypadu zaprzyjaźniliśmy się ze społecznością indiańską malutkiej wioski Warpata. Przy pomocy indiańskich przewodników przeszliśmy się przez rozległe bagienne łąki i strome zbocza porośnięte selwą do płaskowyżu u stóp tepui Tramen. Doszliśmy do fragmentu zbocza, porośniętego rzadką krzewami. Byliśmy wówczas pewni, że rozwiązaliśmy problem logistyczny wyprawy i pozostało nam tylko wrócić za rok ze sprzętem wspinaczkowym, by wejść na piaskowcową górę stołową o pionowych ścianach. Rozpierała nas duma, byliśmy pierwszymi ludźmi w tym rejonie, nawet nasi indiańscy przewodnicy nigdy tam nie dotarli.*

*Zatem pierwszego marca 2011 roku wróciliśmy do Wenezueli. Przybyłem razem z **Gosią Braun**, botanikiem, specjalizującym się w badaniach roślin łąk i torfowisk, pracownikiem naukowym Słowińskiego Parku Narodowego, **Izą Stachowicz**, **Markiem Arcimowiczem**, alpinistą i wybitnym fotografem. W*

Caracas na prośbę wenezuelskiego instytutu IVIC dołączył do naszej grupy Wenezuelczyk **Manuel Alberto Mosquera**, młody alpinista. Wzięliśmy ze sobą sprzęt wspinaczkowy i liofilizowaną żywność.

Trafiliśmy na miesiąc z intensywnymi opadami deszczu. Niezrażeni złą pogodą, w karnawałowy, zwariowany czas w Wenezueli, po wielu dniach oczekiwań, tak na indiańskich tragarzy jak i na pogodę, dotarliśmy do krzaczastego płaskowyżu, kilkaset metrów dalej od miejsca osiągniętego w 2009 roku. Sądziliśmy, że stąd już bez problemów dotrzemy do przełęczy, skąd już będziemy mogli zacząć wspinanie. Niestety, spotkała nas bardzo przykra niespodzianka. Kilkukilometrowe zbocze, prowadzące do przełęczy, porośnięte było gęstymi, sprężystymi zaroślami. Mimo że w ulewnym deszczu, Indianie dokonywali cudów, z niezwykłą zaciętością i determinacją cięli maczetami zwarte krzaki i gałęzie o kilkucentymetrowej grubości, tylko nieznacznie posunęliśmy się do przodu. Ograniczona ilość żywności i zbliżające się terminy lotów do Polski zmusiły nas powrotu.

Już niemal jako weterani w zmaganiach z wenezuelskim górskim lasem, na tegoroczną próbę zmierzenia się z tepujami Tramen i Ilu przygotowaliśmy się solidnie. Zarezerwowaliśmy sobie pięć tygodni czasu, przygotowaliśmy odpowiednią ilość sprzętu i żywności. Z Polski wyruszyliśmy w trójkę: Iza Stachowicz, Marek Arcimowicz i ja. W Caracas, stolicy Wenezueli, po kilku dniach różnych karkołomnych sytuacji, które chyba towarzyszą każdej wyprawie, do naszej ekspedycji dołączyli dwaj bardzo dobrzy młodzi wspinacze wenezuelscy: **Alberto Roho Iribarren** i **Carlos Osorio Orrego**. I już jako polsko-wenezuelska wyprawa wyjechaliśmy wszyscy razem autobusem w dniu 22 stycznia 2012 roku z Caracas do do Kama Meru na Wyżynie Gujańskiej.

Przyjazna rozmowa z szefami wiosek nabrała niespodziewanie inny wymiar, kiedy do rozmowy włączyła się Nora, edukowana Indianka,

zaangażowana działaczka na rzecz uprawnień Indian Pemon. Energiczna Indianka wróciła właśnie z narady, gdzie dyskutowano kwestię niedawnych aresztowań przywódców plemiennych,

Musieliśmy dokładnie objaśnić cele naszej wyprawy, opisać charakter naszej działalności, cały czas przy tym podkreślałem niezwykle piękno okolicy zamieszkałej przez Indian, które jak magnes przyciąga nas w to miejsce. Po jakimś czasie rozwialiśmy niepokój naszym rozmówcom, iż nasi wenezuelscy koledzy, nie są naszymi przewodnikami, lecz kolegami i uczestnikami ekspedycji. Jako przewodników i tragarzy weźmiemy Indian z wioski Warpata i to oni zarobią pieniądze podczas naszej wyprawy, a jeszcze w dodatku dostaną prezenty. Rozmowa, prowadzona głównie między Indianami w języku Pemon, trwała ponad dwie godziny. Przez cały czas dyskusji czułem życzliwe odnośnienie szefa wioski Warpata, który wielokrotnie pokazywał na mnie, opisując nasze zachowanie podczas poprzednich wyjazdów. W końcu dostaliśmy zgodę na wejście na ich teren, poproszono nas jednakże o przedstawienie wyników naszej działalności podczas następnej wyprawy. Obiecaliśmy to Indianom...

Po dwóch dniach, gdy Marek z Carlosem wrócili z Santa Elena z uzupełniającymi zakupami, załadowaliśmy nasz kilkusetkilogramowy bagaż na rozklekotaną Toyotę półciężarówkę i wyruszyliśmy po wybojach, przez rzeki i łożyska wyschniętych do wioski Warpata. Po godzinie męczącej jazdy przekroczyliśmy szeroki trawiasty grzbiet stanowiący dział wodny między rzekami Orinoco i Mazurini. Niestety, zanim dane nam było zobaczyć rozległy trawiasty płaskowyż z zamykającymi go tepujami Tramen, Ilu i ugrzęźliśmy na dobre samochodem w rozległym błocie. Dwugodzinne próby wyciągania samochodu za pomocą podkopywania, wrzucania pod koła twardych kawałków z termitier i kłód drewna spełzły na niczym. Okazało się, że Toyota miała tylko

napęd na dwa koła, a tyse opony tylko się ślizgały się, obrzucając nas grubą warstwą błota. W tej sytuacji wykorzystaliśmy nasze doświadczenie wysokogórskie, wyciągnęliśmy sprzęt wspinaczkowy i za pomocą tzw. flaszcuga, czyli zastosowaniu wielokrążka, przekładając całą zestaw ratowniczy z drzewa do drzewa, po godzinie ciężkiej pracy ściągnęliśmy samochód na twardy teren.

W momencie przyjazdu do Warpaty na naszych oczach błyskawicznie spłonęła doszczętnie jedna z chat krytych strzechą. Mieszkańcy bezradnie przyglądali się niszycielskiemu żywiołowi. Sami też przyczynili się do tego nieszczęścia, spowodowanego zwyczajem wypalania traw. Podekscytowani tym wydarzeniem śmiało zaczęliśmy wypytywać Indian o przyczynę wypalania przez nich traw. Podali wiele powodów. Najbardziej przekonującym okazał się argument, iż po zaraz po wypaleniu, odrastają młode pędy roślin, które są łąkowym kąskiem dla zwierzyny płowej. W gęstym tropikalnym lesie polowanie jest bardzo trudne, o wiele łatwiej ustrzelić jest zwierzynę na otwartej przestrzeni. Przekonaliśmy się o tym w drodze powrotnej, kiedy to na naszych oczach Indianin z Warpaty jednym strzałem trafił sarnę z antycznej strzelby, która od dawna powinna wisieć w muzeum.

W Warpacie dwa dni czekaliśmy na poprawę pogody i na przygotowanie się Indian do wymarszu w góry. Mieliśmy zatem możliwość uzgodnienia warunków współpracy z Indianami i zaprezentowania na laptopie i na monitorach Indian naszych zdjęć z wypraw z odległych krańców świata. Tak jak było do przewidzenia, największe wrażenie na Indianach zrobiły przeźrocza na których widnieli oni sami, zrobione podczas ostatnich wypraw. Przyglądali się z zapartym tchem. My z kolei z wielkim zainteresowaniem obserwowaliśmy ciężką pracę kobiet, które ubrane na białą, na zmyślnych tarkach tartły wielkie korzenie juki.

Cztery dni zajęła nam przeprawa przez błotniste łąki, a później przez strome lesiste zbocza do znanego już nam wcześniej obozowiska na wysokości ok. 1900 m n.p.m. na płaskowyżu u stóp zachodniej ściany tepui Tramen. Podczas poprzedniej wyprawy to miejsce nazwaliśmy Tęczowym Lasem.

Teraz dopiero zaczęła się właściwa wyprawa. Jak ma złość pogoda nas nie rozpieszczała, kilkudniowa fala ulewnych deszczów sprawiła, że nasze obozowisko stało się jednym wielkim bajorem, w którym taplaliśmy się niczym tapiry w błocie. Wszelki próby prac melioracyjnych, czynione ciężkim kilofem sprawiły, że sceneria naszego obozu przypominała koszmar okopów z I Wojny Światowej.

Ale był duch bojowy w zespole. Pierwsi poderwali się Carlos i Albert, którzy zdesperowani oczekiwaniem na pogodę, sami podjęli się próby wycinania w deszczu ścieżki wiodącej w kierunku przełęczy między tepujami Tramen i Ilu. Na szczęście w porę do obozowiska przyszedł **Gervacio Acosta Bailon**, Indianin zamieszkujący z rodziną w przez siebie wykarczowaną plantację w gęstym lesie równikowym. Gervacio okazał się największym wsparciem wyprawy i praktycznie bez niego niemożliwym byłoby dotarcie na przełęcz i do podnóża góry. Przez ponad tydzień wychodził z obozowiska i z wielką skutecznością każdego dnia wycinał maczetą w trudnym stromym terenie kolejnych kilkaset metrów ścieżki. Na początku towarzyszył mu Jose Gonzales, ale on nie wytrzymał trudów przecinania szlaku w górskim lesie, który czasami miał charakter zwartego żywopłotu. Gdy podążaliśmy trasą wytyczoną przez Gervacio, z niemym podziwem oglądaliśmy ogrom wykonanej roboty. A nawet po wycięciu drzew i gałęzi wędrowanie ścieżką było tylko dla twardzieli. Szlak często wiódł nawet i dwa metry nad ziemią po odrostach drzew i splątanych lian i korzeni, w torfowym podłożu czasami zapadaliśmy się nawet po pas. Wędrowka była uciążliwa; połowa pokrytych gęstą moką plechą gałęzi była

przegnita, dotknięcie niemal każdej gałęzi wymagało uwagi, bowiem były na nich parzące gąsienice jak i dochodzące do trzech centymetrów długości mrówki *Paraponera clavata* czy tzw. „mrówki dwudziestoczerogodzinne”. Ból po ukąszeniu tych mrówek porównywalny jest do postrzału karabinowego. Indianie wielokrotnie ostrzegali nas przed tymi mrówkami, dodając, że gdy zostali ukąszeni, leżeli w bólu i w malignie w hamaku przez równe dwadzieścia cztery godziny. Dokuczały nam także roje komarów i meszek, na szczęście wyposażeni zostaliśmy w bardzo skuteczne repelenty.

W miarę posuwania się w górę, organizacja naszych poczynąń wymagała dokładnie przemyślanej logistyki, wyprawa nabrała charakteru niemal wyprawy himalajskiej. Różniła się jednak tym, że w przeciwieństwie do Szerpów w Nepalu, to my musieliśmy gotować i żywić naszych tragarzy i przewodników. W wilgotnych omszałych chaszczach, w ulewnych deszczu nie dało zapalić się ogniska, obawialiśmy się też, że Indianie nie poradzą sobie z trochę skomplikowanym systemem rozpalania kuchenki benzynowej. Łączność za pomocą radiotelefonów ułatwiała transport sprzętu i żywności do podstawy ściany.

Ostatni obóz został założony powyżej przełęczy na grani pod pierwszym uskokiem na stromym, krzaczastym zboczu. Spaliśmy w hamakach, które jakimś cudem udało się przymocować do kruchych gałęzi. Ale już byliśmy ponad, od tak dawna przez nas wypatrywanej, przełęczy, skąd rozlegał się widok na nieprzebyte zielone lasy Gujany i strome ściany przeciwległej tepui Ilu. Na grani nie było wody, zbieraliśmy ją z szerokich liści soczystych bromelii, jak i w czasie deszczu z daszków rozpiętymi nad hamakami.

Kilkudniowa akcja wspinaczkowa w piaskowcu na pionowych dwóch uskokach szczytowych tepui Tramen to pokaz charakteru i umiejętności wspinaczkowych Marka, Alberta i Carlosa. Pierwsza próba zdobycia góry

przerwana tuż przed szczytem w ulewnym deszczu kilkanaście metrów poniżej końca trudności. Przemoczony zespół spędził upiorną noc w silnym wietrze i wręcz poziomo padającym deszczu bez śpiworów i suchej odzieży w malutkich zagłębieniach skalnych na ostatnim uskoku grani. W gęstej mgle, w labiryncie kamieni, nie znaleźli poręczówek wiodących do obozu.

Na szczególne uznania zasługuje determinacja Marka, który po kilkugodzinnym odpoczynku w obozie poderwał po południu wymęczony zespół.

Marek w lakonicznej notatce zamieszczonej na stronie wyprawy tak opisał akcję szczytową:

*Zespół wyszedł po godzinie 15, mimo kiepskiej pogody, decydując się na biwak pod miniaturowym okapem skałki w tym samym miejscu ale już świadomie ze śpiworami.*

*Towarzyszyli im Michał i Iza, lecz tylko Iza z tej dwójki dotarła do plateau. Wspinaczka była średnio trudna, ale w kiepskich warunkach, droga zaporęczowana. Wieczorem i w nocy pogoda znów była beznadziejna. Rankiem wszyscy obudzili się przemoczeni.*

*O 11 zespół ruszył w górę pod ostatnią ścianę. Wspinaczka przez pierwsze dwie godziny odbywała się w strugach deszczu, zimnym wietrze, przy temp. 8-9 stopni po mokrej śliskiej stromej ścianie. Pierwsze dwa wyciągi były zaporęczowane, później trzeba było znów prowadzić. Ok 14.30 Marek odpadł od ściany i z ukruszonym blokiem skalnym zleciał około 6-7 metrów w dół. Na szczęście odbyło się bez większych urazów.*

*Akcję kontynuowano a chwilę później nastąpiło lekkie przejaśnienie co ułatwiło wspinaczkę.*

***Zespół Alberto, Mario i Marek ok. 15.30 czasu wenezuelskiego dotarł na szczyt.***

*Zejscie było bardzo trudne z uwagi na ponowne pogorszenie pogody i potworne zmęczenie po wielodniowej akcji. Wszyscy szczęśliwie dotarli w strugach deszczu do obozu na przełęczy – dwie godziny po zmroku zmęczeniu, zziębnięciu, przemoczeniu ale szczęśliwi*

Zespół Marek Arcimowicz, Alberto Roho Iribarren i Carlos Osorio Orrego weszli na szczyt 14 lutego 2012 roku. Gwoli kronikarskiej dokładności, należy dodać, że przed nimi na szczycie były już inne ekspedycje naukowe, w tym także słowaccy speleolodzy w 1976 roku, Wyprawy te jednak dotarły na szczyt za pomocą helikopterów.

W czasie wyprawy niezwykłą pracowitością wykazała się Iza Stachowicz. Nie tylko fotografowała i opisywała spotykane endemiczne okazy fauny i flory, ale też przygotowana dobrze topograficznie, sprawowała nadzór nad przebiegiem wytyczanego w gęstym lesie szlaku. Nawet gdy Gervacio sam wyruszał na wytyczanie ścieżki, dzięki wyposażeniu go w GPS mieliśmy na dokładnej satelitarnej mapie wgląd w przebieg trasy.

Trzy dni, już bez specjalnych komplikacji, zajął nam powrót do Warpaty. W drodze powrotnej jakże inaczej spoglądaliśmy na tepui Tramen, którą w końcu udało się zdobyć. Indianie, gdy już opuszczaliśmy Warpatę, żegnali nas bardzo serdecznie, ale też prosili, byśmy szybko wrócili, wszak sąsiednia tepui Ilu nie została jeszcze zdobyta.

Zostawiliśmy dużo serca w tym rejonie, zadzierzgnęliśmy jeszcze większą zażyłość z Indianami, dostaliśmy nowych Przyjaciół Carlosa i Alberta. Kto wie, może niebawem pojedziemy z nimi na kolejną wyprawę.

*Michał Kochańczyk*



